

# Wystarczy być

Warto zauważyć, że to debiut fabularny i film dyplomowy studentki Szkoły Filmowej w Łodzi. Jagoda Szalc chce swym pierwszym filmem wytrącić odbiorcę z równowagi, z błęgiego przekonania, że wie, co ogląda. Chce spowodować, by porzucił koleiny schematów myślenia o świecie. Już tytuł wprawia w konsternację – zestawia znaczenia, które na pierwszy rzut oka wydają się sobie całkowicie obce. „Wieża. Jasny dzień” opiera się zatem na dwoistości przeniesionej na różne płaszczyzny: od formy filmowej, przez naturę rzeczywistości, o której opowiada, po postawy bohaterów.

Ramą fabuły jest spotkanie rodzinne z okazji pierwszej komunii świętej Niny (Laila Hennessy), która żyje z Mulą (Anna Krotoska) i Michałem (Rafał Cieluch) w domu w górach pośród łąk i lasów. Na uroczystości przyjeżdżają: brat Muli Andrzej (Rafał Kwietniewski) z żoną (Dorota Łukasiewicz-Kwietniewska) i dziećmi oraz Kaja (Małgorzata Szczerbowska), siostra Muli. Zaraz na wstępie dowiadujemy się, że biologiczną matką Niny jest Kaja, która odnalazła się nagle po sześciu latach i nie wiadomo, co się z nią działo. Ten fakt wprowadza napięcie w relacjach między bohaterami i emocjonalnie naznacza klimat filmu. Budując narrację, Jagoda Szalc sprawnie korzysta z gatunkowych klisz. Jej opowiadanie rozwija się niczym thriller, przechodząc w horror. Widok filmowanego z góry samochodu, który w sekwencji otwierającej film jedzie pustą drogą przez las, z noisowym niepokojącym buczeniem w tle, natychmiast kojarzy się z „Lśnieniem” Kubricka. Jednocześnie reżyserka rozsadza te gatunkowe ramy, gdy w kolejnych scenach dokonuje wolt „z zupełnie innej bajki”. Do widza dociera, że nie idzie tu o dreszczyk emocji i rozrywkę, a film nabiera cech dramatu psychologicznego, traktatu etyczno-religijnego.

Wszystko, co oglądamy, właściwie powinniśmy traktować jak proroctwo, ponieważ reżyserka zaczyna swoją opowieść od napisu „Na podstawie przyszłych wydarzeń”. Dodatkowo bierze wszystko w pewnego rodzaju cudzysłów, na początku mówiąc widzowi „teraz!” i kończąc słowem „już” (obydwa padają z offu). To jakby początek i koniec wtajemniczającego seansu. Szalc cały czas daje nam do zrozumienia, że to, co widzimy na ekranie, ma jakieś drugie dno, ukryty sens. Akcji towarzyszy podskórny nurt, gdzie toczy się alternatywna wersja rzeczywistości. Sugeruje to niepokojący dźwięk i metaforyczne sceny: pies usiłujący coś wykopać spod murawy, Kaja z dłonią w ustach Muli, drzewo spośród którego liści wydobywa się gęsty ciemny dym. Są też sceny powtórki – to samo wydarzenie widziane z innej perspektywy. Kamera podąża za bohaterami, podpatrując ich, jest wewnątrz tego świata, ale nie wszystko udaje się jej zarejestrować. Czasem jakieś sygnały docierają spoza pola jej widzenia.

Jagoda Szalc tak konstruuje swój film, by jak najszerzej otworzyć przestrzeń do interpretacji, by sprowokować widza do zastanowienia, ale jednocześnie buduje własną wizję świata, pokazuje swoje demony. Osią tej opowieści jest konfrontacja między siostrami, między dwiema postawami życiowymi. Mula chce wszystko kontrolować – już na początku spotkania z Kają precyzyjnie ustala zasady. Kiedy coś się jej wymyka, wpada w panikę, reaguje agresją. A świata i życia nie da się kontrolować – przekonuje Szalc. Nic od nas nie zależy, możemy tylko być i kochać. Kluczowa jest tu postać Kai – ona niczego nie musi, zgadza się na wszystko, czego oczekuje od niej siostra, a mimo to wywołuje ciągły niepokój. Zresztą nie tylko Mula obawia się Kai. Strach przed nią Jagoda Szalc aplikuje także widzowi, uświadamiając mu, że jest taki jak Mula. Kaja budzi lęk, bo jest tajemnicą. Nie wiemy, co czai się za jej jasnym spojrzeniem i delikatnym uśmiechem. Spodziewamy się czegoś groźnego, nadciągającej katastrofy. Mula obawia się, że Nina rozpozna w Kai matkę i to doprowadza ją do szału. I to właśnie Kaja spowoduje radykalną przemianę świata, o którym opowiada film.

Świat ten nosi znamiona chorób współczesności. Dalajlama zmarł, a chiński reżim nie pozwala mnichom odnaleźć jego kolejnego wcielenia. To metafora kryzysu duchowości i tło dla krytyki Kościoła katolickiego jako instytucji. Pierwsza komunia stała się gestem, który stracił duchową treść – niczym kultywowany na Kaszubach taniec świętych obrazów. Przez to współczesna religijność jest jałowa, nie daje człowiekowi siły i pocieszenia. Ksiądz przygotowujący dzieci do uroczystego przejścia kolejnego progu w zjednoczeniu z Kościołem zaczyna uświadamiać sobie tę pustkę, czuje, że coś jest nie tak, widzimy jego zagubienie. Tymczasem uroczystość sprowadza się do wręczania darów i prezentów. Dla Niny ma wymiar hulajnogi, zegarka, książki o tytule „Trickster” (postać, która przeciwstawia się ustalonym normom) oraz wielkiego kryształu, przez który świat wygląda inaczej.

Ten obraz współczesności uzupełniają: okaleczona rodzina z nieżyjącym ojcem alkoholikiem, chorą matką na granicy życia i śmierci, pozostawioną na głowie jednego z trójki dzieci (opiekuje się nią Mula), niewolnicy korporacji i kredytów, zahipnotyzowani przez ekrany tabletów i smartfonów, zaślepieni przez nienawiść do „obcych” oraz uchodźcy szukający bezpiecznego miejsca. Dla nich wszystkich Kaja przygotowała prawdziwy rytuał przejścia.

I rzeczywiście. Po zakończeniu projekcji widz staje oniemiały, nie do końca pewny, co przed chwilą zobaczył. Jedno wiadomo – te obrazy jeszcze długo zostaną mu pod powiekami, zostaną też pytania. Jagdzie Szelc udało się stworzyć przekaz o wielkiej sile emocjonalnej. Przyczyniły się do tego zdjęcia Przemysława Brynkiewicza (znakomite plenery i psychologiczne wyczulenie w portretowaniu postaci), a szczególnie naturalna gra aktorska. Mało znani, a jednocześnie świetni aktorzy (z doświadczeniami w teatrze offowym) sprawili, że widz jest naprawdę blisko, niczym jeszcze jeden gość w domu zagubionym w Kotlinie Kłodzkiej.

**Bogdan Sobieszek**